

„Wesele” i polska forma polityczności [TPCT 476]

„Wesele” nie daje odpowiedzi, raczej szkicuje polskie zmagania. I czyni to z ironią, z humorem, z odrobiną absurdu – jakby przewidując, że tylko w taki sposób da się rozmawiać o rzeczach najważniejszych w państwie, gdzie historia jest nauczycielką, która zmusza do ciągłej repety. Czy ciągle tańczymy z własnymi widmami? A może zaczynamy ich słuchać – lecz by je przekroczyć?

Jest w polskiej kulturze pewna osobliwa cecha: kiedy przychodzi mówić rzeczy najważniejsze, wielkich debat nie usłyszymy z parlamentu ani z trybuny; wspólnota zbiera się nie wokół instytucji, lecz wokół słowa. To przez piśmiennictwo, ba! nierzadko literaturę wyrażane są idee, które organizują zbiorowe myślenie. To na łamach powieści toczą się dyskusje, zarysowują się postulaty, dokonują się przenikliwe oceny. Oczywiście ten polski dystynktywny rys był szczególnie reprezentowany w czasach braku państwa, jednak i do dziś to nie uniwersytety ogniskują główne idee, a środowiska powstałe na marginesie oficjalnych instytucji. Tam, gdzie znika państwo, pojawia się *polis* wyobrażone, która sięga mocniej do pewnych tradycji, które rymują się z doświadczeniem i wspólnotą losu. W tym paradygmacie zrodziło się także *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego – ten dramat dziwny, cudowny, a zarazem okrutny jest najpełniejszym świadectwem takiej właśnie formy polityczności.

Zwyczaj się mówić, że *Wesele* to dramat narodowy, co trafne, lecz niewystarczające. Jest to raczej dramat o wspólnotcie – o jej potencjale i niemocy, o chęciach i wahaniach, o tęsknocie za czynem i lęklwym marazmie. Wyspiański, ten swoisty artysta totalny, stworzył opowieść, która staje się soczewką polskości – tej z przełomu wieków, ale i, zdaje się ciągle, tej dzisiejszej. Bo przecież taniec w kuchennej izbie, ten wir kolorów, pawich piór, kierezji, kabatów, jest obrazem naszej wspólnotowej kondycji. Zasłuchani w pisk skrzypiec, nie słyszymy własnych widm, a gdy przemawiają – nie rozumiemy ich języka. Ba! oglądając przestrzeń dziania się wesela – jesteśmy poza miejscem zabawy, ale to i tak ono ogniskuje uwagę wszystkich, tak jakby zainteresowanie wspólnoty politycznej skupiało się na tym miejscu arcypolskim, z dala od świata zewnętrznego przynaglającego czy to pochodem Chochoła, wymową Stańczyka, czy możliwością daną przez Wernyhorę.

Nie sposób nie dostrzec geniuszu tej formy: chata – jak mówi Hertz – chłopska i pańska zarazem, w niej wszyscy: inteligent, chłop, Żyd, kobieta, dziecko, poeta, dziennikarz. A wraz z nimi duchy: Stańczyk, Wernyhora, Rycerz, Hetman, Upiór. To nie tylko galeria postaci. To cała panorama polskiej duszy, zmagającej się z własną przeszłością i niepewną przyszłością – co więcej, pozornie biesiadnicy starają się być tu i teraz, a jednak nie mogą nie skonfrontować się z przestrzenią dramatu historii, jak i zastanej rzeczywistości. Gdy Stańczyk rzuca słowa o „domku małym, chacie skąpej”, mówi o Polsce. Nie tej geograficznej, ale tej politycznej – zawieszanej między marzeniem a niemocą. A przecież *Wesele* nie jest dramatem o klęsce – to raczej dramat o niemożliwości spełnienia bez wewnętrznej przemiany.

Forma polityczności, jaką rysuje Wyspiański, nie jest ani parlamentarna, ani rewolucyjna. To nie przypadek, że bohaterowie rozmawiają, tańczą, śnią. Bo tylko przez wspólne przeżycie mogą dotknąć tego, co polityczne – nie w znaczeniu instytucjonalnym, ale w prostym byciu i spotkaniu. Oczywiście ma to też swoje konsekwencje, które krakowski artysta, cokolwiek uszczypliwie komentuje. I tak Chochół nie jest tylko postacią groteskową – co naszym przewodnikiem po *stasis*, po marazmie i niemocy. Przykryty słomą krzak róży, metafora uśpienia i bezwładności, symbolicznie zostaje przywołany przez Poetę i Rachelę – ówczesną elitę. Ale to Isia – dziecko, symbol nowego pokolenia – próbuje go nadaremnie odgonić, tak jakby przyszłość chciała powstrzymać niemoc przeszłości, zerwać z hipnozą historii, lecz wciąż nieskutecznie. Przywołana przeszłość na nowo wprowadza wspólnotę w stupor.

Można więc powiedzieć: *Wesele* to dramat przestrzeni politycznej bez przestrzeni politycznej. A przez to opowieść o niemożności zaktualizowania własnego potencjału. Gdy Chochół kładzie wszystkich do snu, wyraźnie rozbrzmiewa „miałeś, chamie, złoty róg”. Być może to wyrok, który jest naszym stałym udziałem, a może to nieustająca przestroga, która domaga się odwrócenia? Polska forma polityczności – ta wyłaniająca się z kart *Wesela* – to forma pytająca. O wspólnotę, o sens, o możliwość działania. Dlatego nie dziwi, że do Bronowic pielgrzymują czytelnicy i reżyserzy, eseści i politycy. Bo w tej chacie, jak u Herza, coś się zadziało. Coś, co nie przeminie, choć zmieniają się pokolenia. W tym domu wszystko „aż bije jednakową godnością obu tych złączonych tu stanów” – jak pisał Hertz. Bo tu wydarzyła się rzecz najważniejsza: spotkanie. Nie pojednanie, nie ugoda – spotkanie. Pierwszy krok do polityki.

I na koniec, z pewnością *Wesele* nie daje odpowiedzi, raczej szkicuje polskie zmagania. I czyni to z ironią, z humorem, z odrobiną absurdu – jakby przewidując, że tylko w taki sposób da się rozmawiać o rzeczach najważniejszych w państwie, gdzie historia jest nauczycielką, która zmusza do ciągłej repety. Czy ciągle tańczymy z własnymi widmami? A może zaczynamy ich słuchać – lecz by je przekroczyć? Jedno jest pewne: dziś nikomu już nie trzeba tłumaczyć, że Chińczyki trzymają się mocno.

Jan Czerniecki

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
